



BETH O'LEARY

OSTATNI DZWONEK



AUTORKA
BESTSELLERA

Współ
LOKATORZY

CHECK IN

DWOJE RYWALI.
JEDEN UPADAJĄCY HOTEL.
MIŁOŚĆ TO OSTATNIE, CZEGO POTRZEBUJĄ.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE WAKE-UP CALL

Copyright © 2023 Beth O'Leary Ltd
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2023

Projekt graficzny okładki i oryginalnej: @studiohelen.co.uk

Przygotowanie do druku okładki polskiej: Agnieszka Drabek

Ilustracje na okładce: Marina V./freepik.com (*drzewko w doniczce*);
user10848419/freepik.com (*lampki*); freepik.com (*pierścionki i obrączki*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Drogi Lucasie,

muszę coś wyznać i trochę się denerwuję. Dlatego dostajesz wiadomość w kartce świątecznej (a tak w ogóle to Wesółych Świąt).

Za każdym razem, kiedy spotykamy się w hotelu, dzieje się coś dziwnego. Robi mi się gorąco. Dygoczę. Mówię dziwne rzeczy w rodzaju „Dyń dziobry!”, zapominam, o czym właśnie rozmawiam z gościem, i patrzę na Ciebie zamiast na proponowane przez Barty'ego zmiany w menu, na które Arjun nie chce się zgodzić.

Raczej nie jestem osobą, która się w kimś nagle zadurza. Potrzebuję więcej czasu, ciepłej i przytulnej atmosfery i tak dalej. I NIE TRACĘ głowy dla faceta – nigdy mi się to nie zdarzyło. Ale kiedy patrzę na Ciebie, po prostu... baranieję.

Zastanawiam się, czy Ty nie czujesz tego samego, kiedy na mnie patrzysz. Naprawdę czekam, żebyś coś powiedział. Moja przyjaciółka Jem zwróciła mi jednak uwagę, że może po prostu przypuszczasz, że nie jestem wolna, albo nie przepadasz za ujawnianiem uczuć, albo po prostu muszę wziąć sprawę w swoje ręce i zrobić pierwszy krok.

No więc proszę. Stawiam wszystko na jedną kartę i z głębi swojego ciepłutkiego serduszka wyznaję, że Cię lubię. Bardzo.

Jeżeli czujesz to samo, spotkajmy się pod jemiolą o ósmej wieczorem. Ta w różowej sukience to będę ja. Ta, która ma na imię Izzy i jest recepcjonistką. Nie wiem, dlaczego wrzuciłam ten tekst o różowej sukience.

Na tym kończę pisanie, bo... nie ma już miejsca na kartce. I czuję, że straciłam godność. Do zobaczenia o ósmej?

Izzy xxx

Droga Izzy,
Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku.
Pozdrawiam

Lucas

Izzy

Jeżeli Lucas coś robi, muszę robić to samo, tylko lepiej.

Przez ostatni rok zwykle było to bardzo dobre dla mojej kariery i właśnie dlatego w tym momencie siłuję się z gałęzią jodły, co najmniej dwa razy wyższą i cztery razy szerszą ode mnie.

– Potrzebujesz pomocy? – pyta Lucas.

– Absolutnie nie. A ty?

Ustawiam gałąź tam, gdzie ma być, i ledwie udaje mi się nie roztrzaskać jednej z wielu rozstawionych w holu waz. Zawsze muszę robić uniki, żeby nie wpadać na nie. Podobnie jak większość mebli w hotelu i spa Forest Manor, wazy należą do rodziny Bartholomew, właścicieli posesji. Morris Bartholomew (Barty) i jego żona Uma Singh-Bartholomew (pani SB) założyli w swoim okazałym domu hotel i umieścili w nim jak najwięcej starych rzeczy. Jestem całym sercem za nadawaniem starociom nowego życia – upcykling naprawdę mnie kręci – ale niektóre z tych waz za bardzo przypominają urny. Nie mogę powstrzymać myśli, że w którejś z nich spoczywa jakiś stary Bartholomew.

Lucas przystaje, żeby obejrzeć gałąź jodły.

– Czy to jest wystarczająco kapryśne? – odzywa się.

Mocuję ją po jednej stronie schodów. Schody w Forest

Manor są sławne – z rodzaju tych efektownych, szerokich i rozwidlonych w połowie, które aż się proszą, by powoli zejść po nich w sukni ślubnej albo ustawić na nich dzieci do uroczej rodzinnej fotografii w stylu śpiewających von Trappów.

– A to? – Wskazuję na drzewko w donicy, które Lucas przytaskał z ogrodu i umieścił u stóp schodów po drugiej stronie.

– Tak – odpowiada z absolutną pewnością w głosie. – To jest drzewko oliwne. Oliwki bardzo kojarzą się z kapryśnością.

Przystrajamy hol na jutrzejsze wesele – motyw przewodni to Zimowy Kaprys. Lucas i ja doszliśmy do wniosku, że kaprysem jest asymetria, więc każde z nas zajmuje się jedną stroną schodów. Kłopot w tym, że jeśli Lucas idzie na całość, muszę iść na jeszcze więcej, więc w hotelowym holu znalazła się już spora część ogrodu.

– Są śródziemnomorskie – rzucam.

Lucas mierzy mnie takim wzrokiem, jakby pytał: „To znaczy?”.

– Jesteśmy w New Forest – dodaję. – I jest listopad.

Marszczy brwi. Poddaję się.

– Co w takim razie z moimi srebrnymi światełkami? – Pokazuję na sznur maleńkich połyskujących lampek wplecionych w zieleń pnącą się po poręczy, którą ozdabiam. – Myślisz, że będą też potrzebne po twojej stronie?

– Nie. To kicz.

Mrużę oczy. Zdaniem Lucasa wszystko, co ma związek ze mną, jest kiczowate. Nie znosi moich doczepianych pasek, moich adidasów w kolorze pudrowego różu, mojej słabości do seriali fantasy dla nastolatków. Nie rozumie, że życie jest za krótkie na stosowanie się do reguł, co jest cool, a co nie. Życie jest po to, żeby żyć. W trybie full HD.

I w różowych adidasach.

– Są słodziutkie i uroczo mrugają – mówię.

– Nie zgadzam się. Za mocno świecą. Błyszczą jak małe sztylety.

Dotąd trzymał ręce skrzyżowane na piersi, teraz kładzie je na biodrach. Lucas lubi zajmować dużo miejsca. Prawdopodobnie dlatego ciągle przesiaduje na siłowni – żeby coraz szerszymi barami i coraz lepiej rozwiniętymi bicepsami zagarniać kolejne centymetry sześciennej mojej przestrzeni.

Biorę głęboki oddech. Uspokajam się. Po tym weselu, kiedy tylko będzie to możliwe, Lucas i ja będziemy mogli wrócić do pracy na różnych zmianach. Ostatnio za długo urzędujemy razem w recepcji i sprawy nie układają się za dobrze. Pani SB mówi, że taka sytuacja „niezbyt sprzyja tworzeniu odpowiedniej atmosfery”. Arjun, szef kuchni, twierdzi, że „kiedy Izzy i Lucas pracują na tej samej zmianie, w hotelu jest miło jak u mojej babci”. Poznałam babcię Arjuna, więc z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że to były bardzo niemiłe słowa.

Ja i Lucas mamy jednak największe doświadczenie w kontaktach z gośćmi i to my organizujemy przyjęcia weselne, co oznacza, że przez najbliższe dwa dni będę musiała znieść ciągły napór lucasizmu.

– Chodź na podest – burczy. – Zobaczysz to co ja.

Zawsze jest taki despotyczny. Kiedy go poznałam, jego brazylijski akcent wydał mi się bardzo sexy; wybaczałam mu nieuprzejmość, bo wychodziłam z założenia, że wynika z kłopotów z tłumaczeniem, że Lucas ma dobre intencje, ale nie wszystko mu wychodzi. Z biegiem czasu przekonałam się jednak, że świetnie posługuje się angielskim, tylko po prostu jest dupkiem.

Człapię na podest, gdzie schody się rozwidlają, i

ogarniam wzrokiem całość. Hol jest ogromny; po lewej stronie rozciąga się gigantyczna lada recepcji, za którą na ścianie wiszą staroświeckie klucze. Oryginalne brązowe i kremowe płytki podłogi przykrywa wytarty okrągły dywan, a przy wysokich oknach wychodzących na trawnik stoją fotele i kanapy. Pomieszczenie jest fantastyczne. I przez ostatnie osiem lat stało się moim domem, chyba nawet bardziej niż pastelowe mieszkanko, które wynajmuję w Fordingbridge.

– To jest hotel z klasą – odzywa się Lucas. – Światelka wyglądają na taniochę.

Były tanie. Czego się spodziewał? Przecież jak zwykle właściwie nie mamy budżetu.

– To przede wszystkim jest hotel rodzinny – prostuję w momencie, gdy do holu wmaszerowują dzieci Hedgersów. Cała trójka trzyma się za ręce; najmłodszy chłopiec, w puchowym kombinezonie, wciska pulchne paluszki w dłoń siostry.

– Wow! – Starszy staje jak wryty na widok mojej skrzęcej się poręczy. Młodszy omal się nie wywraca; siostra szarpie go za rękę, żeby odzyskał równowagę. – Wygląda super!

Posyłam Lucasowi najbardziej triumfalny z moich uśmiechów. Dalej mierzy mnie groźnym spojrzeniem. Dzieci wyglądają na nieco stropione, a zaraz potem na za-intrygowane.

Zwróciłam już na to uwagę. Wszystko wskazywałoby na to, że Lucas zupełnie nie radzi sobie z dziećmi – jest wielki, patrzy spode łba i nie wie, jak z nimi rozmawiać. Ale one zawsze wpatrują się w niego jak urzeczone. Parę dni temu słyszałam, jak wita Średnią Hedgers (prawdziwe imię: Ruby; wiek: sześć lat; hobby: sztuki walki, kucyki i wspinaczka na niebezpieczne rzeczy). Powiedział do niej:

„Dzień dobry, jak się spało? Mam nadzieję, że dobrze”. Dokładnie w ten sam sposób i takim samym tonem zwraca się do dorosłych gości. Ruby była zachwycona. „Spałam całą noc – poinformowała go z powagą. – Kiedy na zegarze była siódma, stanęłam przy łóżku mamusi i tatusia i czekałam, aż się obudzą. Tatuś nie wiedział, że tam jestem, więc krzyknął i to było strasznie śmieszne”. Lucas z kamienną miną pokiwał głową i odparł: „Wydaje mi się, że to okropne przebudzenie”, na co Ruby dostała napadu chichotu.

Przedziwne.

– Dzieciom podobają się światełka – zwracam się do niego, rozkładając ręce.

– Dzieciom podobają się też buty z kółkami i żelki Haribo i mogłyby jeść desery lodowe Arjuna, dopóki nie zwymiotują – odparowuje Lucas. – Dzieciom nie można ufać.

Zerkam na dorosłych Hedgersów, żeby sprawdzić, czy nie obraził ich jego komentarz, ale prowadzą dzieci do pokoju; najwyraźniej nic nie słyszeli. Zajmują apartament Groszek, ponieważ pani Hedgers porusza się na wózku; windy od ponad miesiąca są zepsute, mamy więc koszmar, bo na dole jest tylko pięć pokoi.

– Po mojej stronie nie ma światełek – mówi Lucas. – Twoje też powinniśmy zdjąć.

– Boże! Nie mógłbyś pójść na jakiś kompromis i powiedzieć na przykład: „Dobra, użyjmy światełek, ale trochę oszczędniej”?

– Oczywiście od nich bolą. Nie zgadzam się.

– Kiedy z kimś pracujesz, nie możesz tak po prostu się nie zgadzać.

– Dlaczego?

– Musimy dojść do jakiegoś porozumienia.

– Dlaczego?

– Dlatego! Bo to rozsądne!

– Aha. Tak samo rozsądne jak przekładanie wszystkich przyborów biurowych na swojej zmianie, żebym potem niczego nie mógł znaleźć?

– Przecież nie dlatego to robię. Przekładam, bo twój sposób jest...

– Rozsądny?

– Do dupy! – Poniewczasie spoglądam w stronę Groszku, by sprawdzić, czy za dziećmi Hedgersów zamknęły się już drzwi. – Twój sposób jest do dupy. Szuflada bez przerwy się zacina, bo wkładasz dziurkacz bokiem, żółte karteczki powinny być na wierzchu, ponieważ ciągle ich używamy, a tymczasem są na samym dole, pod kartkami na wiadomości, z których w ogóle nie korzystamy, więc bardzo przepraszam, że oszczędzam ci czas!

– Czy to rozsądne zmieniać numerację pokoi i nic mi o tym nie powiedzieć?

– To był pomysł pani SB! Ja tylko wykonywałam jej polecenia!

– Poleciała ci nic mi o tym nie mówić?

Jesteśmy kwita i uświadamiam sobie, że też stoję z rękami na biodrach, w pozycji, którą przyjmuję tylko wtedy, gdy udaję superbohaterkę (a zdarza się to nadspodziewanie często, kiedy pracujesz w hotelu przyjaznym rodzinie).

– Po prostu zapomniałam. Jestem tylko człowiekiem. Nic na to nie poradzę.

– Biednej Mandy nie zapomniałaś powiedzieć.

Do stałej załogi recepcji prócz nas należy jeszcze Mandy. Tak naprawdę wcale nie jest biedna w sensie finansowym – ochrzciliśmy ją tak po prostu w Forest Manor, bo stale tkwi między młotem a kowadłem, czyli między mną a Lucasem, kiedy się o coś kłócimy. Biedna Mandy ma w nosie metody układania rzeczy w szufladzie z przyborami biurowymi. Chce tylko odrobiny ciszy i spokoju.

– Biedna Mandy nie zabroniła mi wysłać do siebie wiadomości poza godzinami pracy, więc pewnie dałam jej o tym znać przez WhatsAppa.

– Nie powiedziałem: „Nie wysyłaj mi wiadomości poza godzinami pracy”. Mówiłem tylko, że bombardowanie mnie szczegółami administrowania hotelem o jedenastej wieczorem w niedzielę nie jest...

– ...rozsądne – rzucam przez zaciśnięte zęby. – No jasne. Ale jeżeli tak ci zależy na rozsądku, to zostaniemy przy rozsądnym braku oświetlenia poręczy schodów, zorganizujemy wesele z rozmachem, w granicach rozsądku, a pan Barty i pani SB podejmą rozsądną decyzję o zamknięciu hotelu, bo przestał być rentowny. Tego chcesz?

– Sądzisz, że uda ci się uratować Forest Manor masą mrugających światełek?

– Tak! – krzyczę. – Nie! To znaczy... nie chodzi o dekoracje jako takie, chodzi o to, żeby zawsze pójść o krok dalej. Forest Manor o tej porze roku jest cudowny i jeżeli wesele się uda, to każdy gość wyjdzie stąd z myślą, że powinien tu przyjechać na krótki wypad albo urządzić przyjęcie zaręczynowe, bo hotel jest fantastyczny. A to znaczy, że w dwudziestym trzecim roku będziemy o krok bliżej do utrzymania płynności finansowej.

– Izzy, hotelu nie uratują żadne krótkie wypady ani zaręczyny. Potrzebne nam inwestycje.

Nie odpowiadam. Nie dlatego, że się z nim zgadzam, ani dlatego – broń Boże – że pozwalam Lucasowi mieć ostatnie słowo. Chodzi o to, że w tym momencie na głowy spada nam sufit.

Lucas

Wściekła Izzy z rękami opartymi na biodrach piorunuje mnie wzrokiem. Chwilę później mam na sobie jej miękkie drobne ciało pachnące cynamonowym cukrem, a ona ma na sobie pół sufitu.

Zupełnie nie rozumiem, jak do tego doszło.

– O Boże – stęka Izzy, zsuwając się ze mnie w chmurze tynku. – Czy właśnie uratowałam ci życie?

– Nie. – Kiedy ona zadaje pytania, najlepiej odpowiadać przecząco. – Co?

– Sufit się zapadł – informuje mnie i wskazuje w górę. Jak zawsze uczynna. – A ja rzuciłam się na ciebie, żeby cię uratować.

Leżę obok niej. Oboje jesteśmy rozciągnięci na wznak na podeście schodów. Wysoko nad nami zieje dziura w suficie. Widzę przez nią stare kinkiety w korytarzu na pierwszym piętrze.

Niedobrze.

Obracam głowę, żeby spojrzeć na Izzy. Ma zarumienione policzki, jej włosy z różowymi pasemkami są rozsypane w nieładzie, ale najwyraźniej jest cała i zdrowa. Za jej głową widzę kawał tynku, na tyle duży, że mógłby zabić jedno z nas. Nagle robi mi się bardzo zimno.

– W takim razie chyba ci dziękuję – mówię.

Izzy wstaje z kwaśną miną i otrzępuje sobie nogi.

– Proszę bardzo. – Jeśli takie słowa wychodzą z ust Izzy i są skierowane do mnie, powinienem je rozumieć: „Spadaj, dupku”. Gdyby rozmawiała z kimkolwiek innym, z pewnością byłyby całkowicie szczerze. Ale gdy chodzi o mnie, to bez względu na to, co Izzy powie, podtekst zasadniczo zawsze sprowadza się do *Vai à merda, cuzão*.

Chyba nie zauważa tego nikt oprócz mnie. Wszyscy uważają Izzy za „miłą”, „zabawną” i „uroczą”. Nawet Arjun traktuje ją jak księżniczkę, chociaż gości hotelowych traktuje tak, jak wielu słynnych muzyków swoich fanów – z czymś w rodzaju czulej pogardy. No ale w ostatnie Boże Narodzenie Izzy nie krzyczała na Arjuna przez cały park przy hotelu: „I tak nie jesteś jej wart, ty nieczuły cyborgu w lakierkach!”.

Rzeczywiście wygląda na to, że uratowała mi życie, staram się więc traktować ją uprzejmie.

– Jestem bardzo wdzięczny – mówię. – I przepraszam, że nie rzuciłem się na ciebie pierwszy. Wyszedłem z założenia, że będziesz umiała zatroszczyć się o siebie.

Ostatnie zdanie wyraźnie nie budzi jej entuzjazmu. Izzy patrzy na mnie wilkiem. Trzyma w zapasie całą gamę spojrzeń o różnym stopniu wrogości. Ma duże zielone oczy i bardzo długie rzęsy, a na brzegach powiek zawsze rysuje wąskie czarne kreseczki. Gdy myślę o Izzy, co zdarza się niezwykle rzadko, od razu widzę te jej utkwione we mnie, przymrużone oczy. Kocie i błyszczące.

– Umieć się o siebie zatroszczyć – oznajmia.

– Tak, wiem. Dlatego cię nie ratowałem.

– Halo?! – woła ktoś z góry.

– Cholera – mruczy pod nosem Izzy i wyciąga szyję, żeby spojrzeć przez dziurę w suficie. – Pani Muller?

Przy swoich wszystkich wadach Izzy ma wyjątkowo dobrą pamięć do naszych gości. Jeśli ktoś już kiedyś się u nas zatrzymał, Izzy zna jego imię, ulubiony zestaw śniadaniowy i znak zodiaku. Ale panią Muller nawet ja pamiętam: często u nas bywa i zawsze denerwuje zespół sprzątający, chlapiąc wszędzie farbą, kiedy pracuje nad swoimi dziełami sztuki. Ma ponad siedemdziesiątkę, jest pół Niemką, pół Jamajką, mówi z takim akcentem, że zrozumienie jej wymaga ode mnie dużego wysiłku, i ma zwyczaj rozdawania napiwków personelowi hotelowemu, jakbyśmy byli w Ameryce... co zupełnie mi nie przeszkadza.

– Dzwon po straż – syczy do mnie Izzy, po czym odwraca się do pani Muller. – Proszę zachować ostrożność! Doszło do drobnego... hm...

– Wypadku – podsuwam.

– Problemu – mówi Izzy. – Mamy drobny problem z podłogą! Ale natychmiast to załatwimy.

Oboje próbujemy patrzeć przez dziurę. Musimy coś zrobić, zanim jeden z pięćdziesięciorga innych gości, którzy w tym momencie są w Forest Manor, wyjdzie z pokoju, narażając się na upadek z wysokości co najmniej jednej kondygnacji.

– Pani Muller, proszę się cofnąć! – wołam, a potem zbiegam po schodach do holu. Sytuacja jest równie niebezpieczna dla nas, jak dla niej. – Ty też powinnaś się ruszyć – radzę Izzy, zerkając na nią przez ramię.

Nie zwraca na mnie uwagi. Trudno, próbowałem. Oglądam zniszczenia schodów i wyjmuję telefon, żeby zadzwonić pod sto dziewięćdziesiąt, ale przypominam sobie, że ten numer nie działa w Wielkiej Brytanii, bo tu jest...

– Dziewięć dziewięć dziewięć – podpowiada Izzy.

– Wiem – prychem i dzwonię.

Z dziury spada kaskada drobin tynku, obsypując pyłem

Izzy. Pluje i potrząsa długimi brązowo-różowymi włosami, które teraz pokrywa biały proszek.

– Ojej! – słyszę za plecami czyjś przejęty głos. Odwracam się i widzę sześćioletnią Ruby Hedgers, która stoi w drzwiach apartamentu Groszek. – Pada śnieg?

– Nie, doszło do naruszenia konstrukcji budynku – wyjaśniam jej. – Halo? Tak, poproszę ze strażą pożarną...

*

W hotelu roi się od strażaków. Jeden z tych szczególnie przystojnych bardzo nieprofesjonalnie flirtuje z Izzy. Jestem w bardzo złym nastroju.

To był stresujący ranek. Goście są tym wszystkim trochę zaniepokojeni – i trudno im się dziwić. Kilka osób było niezadowolonych, kiedy polecono im opuścić pokoje przez okna i zejść po drabinach. Jeden ze strażaków powiedział nam, że uszkodzenia sufitu i schodów to „nie drobnostka”, że to będzie „grubsza robota”, i na wypadek gdyby to nie było całkiem jasne, potarł kciuk o palec wskazujący w geście, który oznacza w Anglii to samo co w Brazylii: kasa, kasa, kasa.

To właśnie źródło wszystkich naszych kłopotów w hotelu Forest Manor. O ile się orientuję, przed pandemią prosperował doskonale, ale biznes mocno ucierpiał podczas covidowych lockdownów, które nieszczęśliwie zbiegły się w czasie z koniecznością wymiany całego dachu. Teraz cienko przędziemy i nie stać nas na niezbędny remont. Dwa lata temu, kiedy zaczynałem tu pracę, Forest Manor już wyglądał na mocno sfatygowany, a potem stracił wiele ze swoich luksusów, co wymusiło spadek cen, nawet w uhonorowanej nagrodą restauracji hotelowej.

Pozostało jednak serce. Naprawdę uważam, że nie ma w Anglii drugiego takiego hotelu. Wiedziałem to, gdy tylko

przestąpiłem próg tego przybytku i zobaczyłem gości w hotelowych kapciach, czytających gazety na kanapach i popatrujących na dzieci, które bawiły się na trawnikach. To był obraz spokoju i harmonii. Goście są dla nas najcenniejsi – w chwili gdy wręczam im klucz, stają się członkami naszej rodziny.

– Lucas, zgadza się? – słyszę za sobą głos, a zaraz potem ktoś klepie mnie po plecach.

Stawiam swoją cenną trzecią tego dnia kawę na stoliku w holu i przygotowuję się psychicznie. Nie zawsze lubimy wszystkich członków rodziny.

Louis Keele, który przyjechał w nasze strony w interesach, na najbliższe dwa miesiące zajął Aster na dole. To jeden z naszych najlepszych apartamentów, a Louis jest miłośnikiem najlepszych rzeczy. „Ludzie nie doceniają już jakości”, powiedział kilka dni temu koledze, gdy przechodzili przez hol. Przypuszczam, że znacznie łatwiej jest „doceniać” jakość, kiedy twój ojciec w latach dziewięćdziesiątych zarobił kilka milionów funtów na rynku nieruchomości, ale cóż mogę o tym wiedzieć.

– Tak, panie Keele. Mamy ewakuację hotelu.

Najwyraźniej wie. Strażacy są wszędzie, a drzwi zabezpiecza taśma i Louis właśnie dał pod nią nura. Poza tym na schodach leży spora część sufitu.

– Bardzo mi przykro, ale na pewien czas będzie pan musiał opuścić pokój, dopóki tego wszystkiego nie naprawimy.

Z zaciekawieniem patrzy na „to wszystko”. Zaciskam pięści. Facet działa mi na nerwy. Pod jego beztróskim uśmiechem kryje się coś w rodzaju głodu i wyrachowanie. Spędził u nas ostatnie Boże Narodzenie i nawet wtedy pytał panią SB, czy nie zastanowiłaby się nad sprzedażą hotelu firmie jego ojca – a raczej, jak to określił, „przedsiębiorstwu

rodziny Keele'ów". Zaśmiała się i odparła, że nie, ale dzisiaj sytuacja jest inna. Mieliśmy poważne kłopoty finansowe, zanim jeszcze zawalił się sufit.

Louis wpycha ręce do kieszeni i cicho pogwizduje.

– Taka katastrofa z perspektywą innych poważnych prac remontowych... – Krzywi się ze współczuciem. – Przepraszam za wyrażenie, ale chyba tkwicie po uszy w gównie, prawda?

– Louis! – szczebiocze Izzy, która nagle wyłania się z restauracji, i posyła mi ostrzegawcze spojrzenie oznaczające, że mam mniej usłużną minę, niż powinienem. – Wyprowadzę cię z budynku. Urządzamy nieplanowany zimowy piknik pod pergolą, pawilonem czy altaną... nigdy nie wiem, czym to się różni, ale wiesz, co mam na myśli.

Trzyma dłoń na jego ramieniu. Jak na Brytyjkę Izzy bardzo lubi dotykać ludzi... wszystkich oprócz mnie.

– Dzwoniła pani SB – zwraca się do mnie przez ramię, odprowadzając Louisa. – Ktoś musi zatelefonować do histeryzującej panny młodej, której wesele właśnie zostało odwołane. Powiedziałam jej, że podszedłeś do organizacji jutrzejszego przyjęcia z wielką pasją i że będziesz odpowiedzialną osobą, na której uwagę i zrozumienie panna młoda na pewno może liczyć.

Zaciskam zęby. Izzy wie, że nie lubię emocjonalnych rozmów. Jedyne pocieszenie w tym, że załatwiłem już, żeby to ona pomogła Barty'emu w wypełnieniu czterdziestoczceterostronicowego dokumentu ubezpieczeniowego, który nasz szef na pewno ściągnął w niewłaściwym formacie. To będzie dla niej męka.

– O piątej mamy się oboje stawić w jej gabinecie – dodaje Izzy.

Dopiero gdy za nią i Louisem zamykają się drzwi, uświadamiam sobie, co to prawdopodobnie oznacza.

Nawet jeżeli z parteru można bezpiecznie korzystać, to mamy do dyspozycji pięć pokoi zamiast dwudziestu pięciu. Pięć najdroższych – to już coś – ale tylko ułamek tego, ile zwykle zarabiamy w zimowe miesiące; poza tym nie będzie potrzebny cały zespół w recepcji. W ciągu tygodnia Izzy i ja dzielimy miejsce za ladą z jednym z recepcjonistów z agencji zatrudnianych przez panią SB i znosimy jakoś jeden dzień, w którym nasze zmiany zachodzą na siebie (poniedziałek, najbardziej ponury dzień tygodnia). Mandy zwykle pracowała wieczorami, gdy w recepcji wystarczała tylko jedna osoba.

Na miejscu pani SB zredukowałbym personel. A że chodzi o zwolnienie w tak nagłym trybie, prawdopodobnie będzie musiała zapłacić pracownikom z agencji, nawet jeżeli nie stawiają się do pracy, a Mandy to dawna przyjaciółka rodziny Barty'ego.

Czyli w grę wchodzi... nasza dwójka, Izzy i ja.

Izzy

Jest piąta. Mam już przygotowaną przemowę. Parę użytecznych wskazówek dostałam od Arjuna, który stwierdził, że za bardzo skupiam się na tym, dlaczego jestem lepszą pracownicą niż Lucas, przez co mogę uchodzić za osobę niepotrafiącą pracować w zespole. Oczywiście protestuję – jeżeli ktoś nie potrafi pracować w zespole, to raczej Lucas. Zawsze irytuje personel, a raz nawet doprowadził do łez Olliego, gdy zepsuła się zmywarka. Może jednak rzeczywiście powinnam sobie darować podkreślanie tego, że moja księga rezerwacji dosłownie pod każdym względem bije na głowę jego system rezerwacji online.

Kiedy teraz oboje stoimy obok siebie przed Opalowym Domkiem – dawną stróżówką, w której dziś mieszka ją państwo Singh-Bartholomew – zdaję sobie sprawę, że odrobinę współczuję Lucasowi. Jego mina zdradza, że denerwuje się tak samo jak ja. Dzisiaj panuje przeraźliwy ziąb, a trawa jest mokra po porannym deszczu ze śniegiem, mimo to podwinął rękawy i co chwilę rozchyła kołnierzyk, jakby mu było za gorąco. Nasze oczy się spotykają. Już się zastanawiam, czy się do niego uśmiechnąć, kiedy mówi:

– Przeorganizowałem twoje pudełko.

Myśli o uśmiechu ulatniają się w jednej chwili.

– Moje pudełko drobiazgów?

Wyraz twarzy Lucasa zmienia się z pozycji „spięty i niewzruszony” na subtelne ustawienie „nudzą mnie te głupstwa”.

– Owszem, pudełko, które trzymasz pod kontuarem, pełne twoich rzeczy.

– Nie możesz grzebać w moim pudełku drobiazgów! Stoi tam od ośmiu lat!

– Na to akurat jasno wskazywała zawartość. Kiedy usunąłem opakowania przeterminowanych cukierków, reszta łatwo zmieściła się w mniejszym i praktyczniejszym pojemniku.

– Cukierki nigdy się nie psują! Powiedz mi tylko, że niczego nie wyrzuciłeś.

Mierzy mnie obojętnym spojrzeniem.

– Co najmniej dwa razy dziennie kopię w to pudełko – odzywa się po chwili. – Prosiłem cię wiele razy, żebyś je stamtąd zabrała. Zracjonalizowanie zawartości wydawało mi się dobrym kompromisem. Przecież ciągle powtarzasz, że powinienem szukać kompromisów, prawda?

– Słucham? Kopiesz w moje pudełko? Musisz wiedzieć, że tam są kruche przedmioty... Właściwie tylko mój kubek z Teen Wolfem. Ale bardzo cenny.

Pani SB otwiera drzwi i oboje wyprężamy się na baczność. Od razu widać, że ten dzień jest dla niej znacznie bardziej stresujący niż dla mnie, a tymczasem to ja miotałam się w chaosie. Ma kardigan, ale tylko jedną rękę włożyła do rękawa. Drugi kołysze się na jej plecach jak jasnoróżowy ogon. Między ramieniem a policzkiem przytrzymuje telefon, a jej zwykle ekstrawagancki cień do powiek ma nudy szarobury odcień, co nie wróży niczego dobrego. Zaprasza nas gestem do środka, łopocząc rękawem swetra, i mówi do telefonu:

– Ależ oczywiście, to nie będzie żaden problem. – I krzywi się.

Wskazuje nam dwa fotele w holu. Na jednym z nich chyba wcześniej siedziała, sądząc po miseczce z niedojedzonym makaronem, kocu z kapturem przewieszonym przez oparcie i rozrzuconych wszędzie papierach, które wyglądają na ważne dokumenty. Barty macha do nas z kuchni, nie podnosząc wzroku. Tkwi zagrzebany po łokcie w papierach w segregatorach; czyta je przez okulary zsunięte na czubek długiego arystokratycznego nosa.

Lucas bardzo ostrożnie zajmuje miejsce, jakby bał się zarazić tym chaosem. Ja siadam w fotelu i przyciskam do piersi torbę z laptopem, próbując przypomnieć sobie początek swojej przemowy. „Przez osiem ostatnich lat w Forest Manor... byłam nieocenionym członkiem zespołu, który koordynował wszystko, od przyjęć weselnych na wielką skalę po...”

– Witajcie. – Pani SB z westchnieniem odkłada telefon.
– Wasz widok to balsam dla oczu. Dalej badają miejsce zbrodni?

Wskazuje na okno wychodzące na hotel. Lucas i ja wymieniamy przelotne spojrzenia.

– Sporo się dzieje – odpowiadam beztroskim tonem.
– Ale sytuacja trochę się uspokoiła, gdy Barty przydzielił wszystkim tymczasowe kwatery. Umówiłam już czterech przedsiębiorców budowlanych, żeby przyszli wycenić...

– A ja skontaktowałam się z inżynierami konstruktora-
mi – wtrąca Lucas. – Z pracami na tak wielką skalę nie poradziłyby sobie mała firma budowlana.

Słyszając o pracach na wielką skalę, pani SB szeroko otwiera oczy. Ja się nie odzywam. Czasem Lucas zdobywa gole dla mnie.

Nie zna pani SB tak dobrze jak ja. Otworzyli z Bartym

ten hotel jako nowożeńcy, ponad czterdzieści lat temu, i ten budynek nie jest dla nich po prostu miejscem pracy; to ich jedyne dziecko, bo innych nie mieli. Kochają każdy kawałeczek, od staroświeckich pokoików na poddaszu po wielką mosiężną kołatkę na drzwiach. Forest Manor powstał z myślą o luksusie i romantycznej aurze, o kwartetach smyczkowych, wolnych tańcach i wystawnych kolacjach przy świecach. Przykro jest patrzeć, jak pani SB trudno pogodzić się z tym, że po tym wszystkim, co przeszliśmy, nie stać ich na uchronienie tego magicznego miejsca przed zagładą.

– Nie zamykamy się – oświadcza zdecydowanie. – Ubezpieczyciele twierdzą, że można dalej działać, pod warunkiem że miejsce robót zostanie „odpowiednio odgródzone”, więc do listy rzeczy do zrobienia dopisuję „kupić coś do odgrózenia”. A wcześniej „wygooglować, czym odgradza się roboty budowlane”. Trzeba odwołać wszystkie wesela zaplanowane na tę zimę, ale ciągle mamy do dyspozycji pięć apartamentów i kuchnię, która jest nieknięta, bez względu na to, co mówi Arjun.

Szef kuchni bardzo się martwi pyłem z tynku. Dzisiaj po południu zbagatelizowałam jego niepokoje, ale trzeba się z nim obchodzić ostrożnie. Później wyślę kogoś do niego, żeby symbolicznie przetarł okolice kuchenki, i uspokoję go, że sprawa jest załatwiona.

– Ale jeżeli zamkniemy wszystkie dwadzieścia pokoi na górze... i wszędzie będą się kręcić budowlancy i... inżynierowie konstruktorzy... – Pani SB ociera czoło i przesuwa okulary na włosy. – Hedgersowie zostaną?

Kiwam głową.

– Koszty ich pobytu pokrywa ubezpieczenie, bo ich dom został zalany – informuję ją. – Prawdę mówiąc, nie mają gdzie się podziąć.

– To dobrze. – Pani SB krzywi się. – Przepraszam. Wiesz, co mam na myśli. Mamy jeszcze panią Muller, która zostaje do stycznia. Chyba powinniśmy potraktować priorytetowo stałych gości. Ta para z Nowego Orleanu odwołała rezerwację i wybrała hotel Pig, więc możemy przenieść panią Muller do wyższego standardu. Louis Keele dał do zrozumienia, że chętnie zostanie...

Z zaciekawieniem zerkam na Lucasa. Gdy pani SB wspomniała o Louisie, wydał cichutki znajomy dźwięk: wyrażające niesmak prychnięcie, jakim kwituje większość tego, co mówię.

– Kto jeszcze przyjechał do nas na dłużej? – pyta pani SB.

– Pan Townsend i Jacobsowie – odpowiadamy chórem z Lucasem.

– Jacobsowie, młode małżeństwo z Belgii z pięcioletnim dzieckiem – dodaję. – Uwielbiają wszystko, co brytyjskie, zamawiają mocno wysmażony bekon i szaleją za *Hotelem Zacisze*.

Pana Townsenda wszyscy znamy, więc nawet nie próbuję nic o nim mówić. Co roku spędza u nas zimą co najmniej trzy miesiące, a kiedy nie ma go w hotelu, od czasu do czasu wymieniam z nim maile – jak wielu powracających gości stał się naszym znajomym. Wiem, że Barty i pani SB traktują go tak samo.

– Hm... jeżeli komuś podoba się *Hotel Zacisze*, to dobry znak – stwierdza z grymasem pani SB. – No dobrze. I wiemy, że...

– ...chętnie zostaną – kończę za nią. – Już sprawdziłam.

– Dobrze. Brawo, Izzy. A jeżeli chodzi o resztę... – Pani SB patrzy na ekran laptopa na swoich kolanach. – Jakoś to z nimi załatwię. – Spogląda na nas ze smętnym uśmiechem. Pani SB to najmilsza szefowa na świecie, która nie znosi

sprawiać nikomu zawodu, jeżeli więc jest przygnębiona, prawie na pewno oznacza to dla ciebie coś złego. – No dobrze, porozmawiajmy o was.

O Boże.

– Z wami nie mogę owijać w bawełnę. Od nowego roku niczego nie gwarantuję. Możliwe, że... – Z trudem przełyka ślinę. – Szczerze mówiąc, nie mamy już pieniędzy. O wszystkim przesądzi kilka najbliższych tygodni. Ale wiem, jakie to ważne dla każdego z was, żeby tej zimy pracować w hotelu.

Bardziej wyczuwam, niż widzę, jak Lucas sztywnieje. Po raz pierwszy zastanawiam się, dlaczego właściwie postanowił pracować przez cały listopad i grudzień, zamiast tak jak w zeszłym roku pojechać do rodziny w Brazylii. Zaraz jednak przestaję o tym myśleć, bo moja przyjaciółka Jem surowo zabroniła mi wszelkich myśli, które dotyczą zeszłorocznego Bożego Narodzenia i Lucasa.

– Skoro do dyspozycji będzie tylko pięć pokoi... nie mam powodu zatrudniać was obojga razem z recepcjonistą z agencji.

No i się doczekaliśmy. Bawię się paskiem torebki, a przygotowana przemowa więźnie mi w gardle. Co to ja chciałam powiedzieć? Że jestem nieoceniona? Że pracuję w hotelu od ośmiu lat? Że szuflada z przyborami biurowymi jest w znacznie lepszym stanie, kiedy jej doglądam?

– Proszę pani – odzywa się Lucas – rozumiem państwa trudności. Pozwolę sobie tylko przypomnieć o rewelacyjnym elektronicznym systemie rezerwacji, który wprowadziłem, kiedy...

– Osobiste listy! – krzyczę. Oboje odwracają się i patrzą na mnie. – To był mój pomysł, żeby zostawiać w pokojach listy powitalne, i wielu klientów, pisząc pozytywne opinie, wspominało o tych listach.

– Wspominali o twoim okropnym charakterze pisma – zauważa Lucas.

Rumienię się. Ludzie w internecie bywają podli.

– Jestem wyjątkowo oszczędny – informuje Lucas naszą pracodawczynię, która z każdą minutą wygląda na coraz bardziej zmęczoną. – Kiedy potrzebujemy papieru do drukarki, zawsze zamawiam...

– ...za drogi i za bardzo premium – kończę za niego.

– Papier wysokiej jakości, który zużywa mniej tuszu – brnie dalej Lucas. – W przeciwieństwie do Izzy zawsze biorę pod uwagę skutki finansowe swoich działań.

– W przeciwieństwie do Izzy? Słucham?! A kto dzisiaj rano narzekał na moje tanie światełka? Gdybyśmy cię słuchali, wszystko w hotelu byłoby zrobione z czystego złota.

– Co za idiotyzm – cedzi Lucas, nawet nie patrząc w moją stronę. – To jasne, że nie proponowałbym światełek ze szczerego złota. Chodziło mi o to, żeby całkiem zrezygnować ze światełek.

– Jaki będzie następny krok? – Podnoszę głos. – Zrezygnować z kanap? Z łóżek?

– Proszę, przestańcie. – Pani SB unosi ręce w geście kapitulacji. – Nie musicie o to walczyć, bo mam zamiar zostawić was oboje do Nowego Roku. Dyrektor agencji był w tych okolicznościach na tyle uprzejmy, że zgodził się zwolnić nas z umowy i we wtorki i środy zapewni nam personel okrojony do minimum... jeżeli oboje chcecie pracować przez pięć dni.

– Tak – odpowiadamy chórem tak głośno, że pani SB nieznacznie się wzdryga.

Piąty dzień pracy jest zwykle podzielony w ten sposób, że jedno z nas zostaje na wieczór, żeby Mandy mogła mieć wolne. Nie będę za tym tęskniła – wieczorne zmiany nie są takie fajne. Przede wszystkim dzieci w hotelu już śpią.

– To dobrze. Dziękuję wam obojgu. Potrzebuję tu odpowiedzialnych i doświadczonych pracowników. Wam i Mandy mogę powierzyć wszystko. Wiem, że przyjdziecie z odsieczą wszędzie tam, gdzie będziecie potrzebni. Zwolnię połowę załogi restauracji i jeszcze więcej osób z personelu sprzątającego. Arjun w kuchni będzie musiał dać sobie radę tylko z Olliem.

– Chce mu pani zostawić jedynie pomoc kuchenną? – pytam, bo nie mogę się powstrzymać. Arjun nie będzie zachwycony.

– Ollie to samorodny talent – odpowiada natychmiast pani SB. – Arjun może go ukształtować na swój obraz i podobieństwo. Dobrze... – Wyciąga do nas rękę. Pierwsza łapie jedną z nich; Lucas dopiero po chwili wahania ścisną jej dłoń. – Dość gadania o pracy – oznajmia pani SB. – Chciałabym wam przypomnieć, że jesteśmy tu rodziną. To się nie zmieni, cokolwiek by się stało. Jeżeli trzeba będzie zamknąć Forest Manor, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wam pomóc. Wszystko. Powinniście wiedzieć, że oboje zawsze będziecie mi bardzo bliscy.

Rozklejam się. Pani SB dobrze wie, że takie rozmowy są dla mnie bardzo trudne, i lekko ścisną moją dłoń. Na sekundę stają mi w myślach różne sceny: piję z Arjunem ostatnią gorącą czekoladę z kawą; pakuję do samochodu swoje pudełko drobiazgów; przytulam na pożegnanie Barty'ego i panią SB, ludzi, u których poczułam się jak u siebie w domu wtedy, gdy to było dla mnie najważniejsze.

– Oczywiście. – Mój głos brzmi trochę piskliwie. – Będę do pani dyspozycji tak długo, jak będzie pani chciała. Proszę powiedzieć, co mam robić, a zaraz się do tego zabieram.

Lucas kiwa głową.

– Co tylko pani sobie życzy – zapewnia.

– Wspaniale. – Pani SB posyła nam błady, zmęczony uśmiech i puszcza nasze ręce. – Sprzedamy, co się da. To krok numer jeden.

Szeroko otwieram oczy.

– A pani mąż...

– Jest z tego powodu bardzo przygnębiony. – Pani SB zniża głos i zerka w stronę kuchni. – Ale jeżeli nie uda się nam zebrać środków, stracimy hotel. Dlatego trzeba się pożegnać z częścią starych rzeczy rodziny Bartholomew. Mogę oddać w wasze ręce magazyn rzeczy znalezionych?

– Oddać w sensie... żeby to wszystko sprzedać? – pytam. Początkiem magazynu rzeczy znalezionych było pudełko, którego zawartość powiększała się z biegiem lat, a dziś mieliśmy w magazynie setki, jeśli nie tysiące, przedmiotów. W Forest Manor nie przepadamy za wyrzucaniem rzeczy. – W ogóle wolno nam to zrobić?

– Zerknęłam do przepisów i prawo jest mało precyzyjne, ale wydaje mi się, że jeżeli przedsięwzięliśmy kroki w celu zwrócenia przedmiotów właścicielom... a zawsze tak robimy, gdy trafia do nas coś nowego... i upłynęło odpowiednio dużo czasu, mamy prawo uznać je za swoją własność. A skoro to nasza własność, to nie rozumiem, dlaczego nie moglibyśmy trochę na niej zarobić. To wielki miszmasz, ale nigdy nie wiadomo, być może kryją się tam jakieś perełki. Mogę liczyć, że to sprzedacie? Na pewno pomoże wam Biedna Mandy.

– Oczywiście – zapewnia ją Lucas. – Bardzo się cieszę.

Moje brwi lekko drgają. Lucas nie znosi magazynu rzeczy znalezionych. Nazywa go „śmietnikiem”.

Pani SB z głębokim westchnieniem odchyła się na oparcie fotela, a potem zauważa, że włożyła kardigan tylko do połowy.

– Niech to diabli, co za dzień! Musicie naprawdę stanąć

na wysokości zadania. Zdajecie sobie sprawę, mam nadzieję, że będziecie musieli pracować na jednej zmianie przez pięć dni w tygodniu? – Zsuwa okulary na nos i przybiera swoją najsurowszą minę. – Oboje jesteście na to gotowi?

Staramy się unikać nawzajem swojego wzroku.

– Naturalnie – oznajmiam wesoło.

– Tak – odzywa się Lucas. – Tak, mogę pracować z Izzy. Nie ma sprawy.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).